

Bilans operacji irackiej dla Ameryki

Oficjalne zakończenie wojny w Iraku 15 grudnia 2011 r. i wycofanie stamtąd ostatnich żołnierzy amerykańskich nie było momentem triumfu ani dla *US Army*, ani dla pozycji i rangi Stanów Zjednoczonych w świecie. Operacja iracka, trwająca od marca 2003 r., okazała się tragiczną porażką Ameryki, której konsekwencje dostrzegalne były na różnych płaszczyznach i w różnych wymiarach. Najbardziej dramatyczne okazały się bezpośrednie koszty: życie w Iraku straciło 4,5 tys. żołnierzy amerykańskich, ponad 32 tys. zostało rannych, Irakijczyków zginęło ponad 150 tys. Koszt samej operacji wojskowej wyniósł ponad 800 mld USD, jeśli doliczyć do tego koszty dodatkowe, to sięgają one ponoć sumy prawie 2 bln USD. Tę wysoką cenę, jaką zapłaciła Ameryka, można by jeszcze uzasadnić, gdyby Amerykanie opuszczali Irak w poczuciu zrealizowania swej misji, osiągnięcia celów, które przyświecały autorom operacji irackiej. Tak się jednak nie stało.

Mówiąc bez większej przesady interwencja w Iraku to jeden z największych błędów administracji George'a W. Busha, ekspozycja jej niekompetencji, a równocześnie nadmiaru „pobożnego myślenia”. Można uznać słuszność niektórych motywów uderzenia na Irak, choćby chęć definitywnego rozprawienia się z reżimem Saddama Husajna. Ale oprócz tego były przesłanki – w tym unieszkodliwienie arsenałów broni masowego rażenia oraz powiązania Saddama z Al-Kaidą – które okazały się pustą powłoką. Już to podważyło wiarygodność Stanów Zjednoczonych, profesjonalizm ich służb wywiadowczych, szczerość polityków. Nadwerżeniu uległa reputacja supermocarstwa. Irak okazał się więc awanturą wątpliwie uzasadnioną, kosztowną i do tego kiepsko przeprowadzoną.

Nr 75 / 2012
16'01'12

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-Badawczy,
Poznań

Autor:
Jadwiga Kiwerska

Redakcja:
Marta Götz
Piotr Cichocki
Radosław Grodzki
Krzysztof Malinowski

Bo wprawdzie operację „Iracka Wolność” 1 maja 2003 r. prezydent Bush uznał za zakończoną, jednak trwający ponad 8 lat i nadal bez perspektyw pozytywnego finału proces opanowania chaosu, przywracania stabilizacji, budowy demokracji – wycofujący się Amerykanie pozostawili za ledwie zręby rachitycznej demokracji – dowodził, jak bardzo Amerykanie rozpoczynając awanturę iracką, okazali się nieprzygotowani, nieskuteczni i nieprzewidujący. Zamiast realizacji Wilsonowskiej misji i posłannictwa Ameryki szerzenia demokracji i pokoju, terytorium Iraku zostało na długi czas zamienione w centrum terroryzmu, ogarnięte wojną domową, zdominowane przez bandytyzm. Supermocarstwo, dysponujące bezprecedensową siłą militarną, traciło w Iraku miliardy dolarów, setki żołnierzy i prestiż. Narzucała się analogia z Wietnamem, zwłaszcza jako tragiczne i traumatyczne kolejne doświadczenie Ameryki.

Także to, co miało być głównym celem w Iraku – zwycięstwo demokracji promieniujące na cały Bliski Wschód i prowadzące do trwałego pokoju w regionie (także w odniesieniu do konfliktu izraelsko-palestyńskiego), okazało się nierealną mrzonką neokonserwatystów, wyrazem ich nieokiełzanych ambicji. Mogli się oni przekonać, że istnieje zasadnicza sprzeczność między wzniosłymi koncepcjami promowania demokracji, wolności i dobrobytu a twardymi realiami rzeczywistości i specyfiką realnych uwarunkowań, które wcześniej powinno się skrupulatnie przeanalizować. Złośliwcy mogą powiedzieć, przecież trzeba było to przewidzieć, wszak takie obawy zgłaszali niektórzy europejscy partnerzy. Biały Dom nie słuchał, nie przewidywał, źle zaplanował. Ale cenę za te niepowodzenia płaciła nie tylko owa wpływowa grupa wyższych urzędników Białego Domu, ale państwo amerykańskie, które okazało się niezdolne do realizacji swych celów strategicznych. Czy może być coś bardziej przykrego dla supermocarstwa?

Trudno też nie wspomnieć o międzynarodowych konsekwencjach operacji irackiej. Dokonała się ona bowiem w atmosferze ogromnych zawirowań na arenie międzynarodowej, wstrząsu dyplomatycznego w układzie transatlantyckim. Nie umiając przełożyć swej dominacji na skuteczne działania dyplomatyczne i tworzenie międzynarodowego konsensusu USA uderzyły na Irak w pewnym osamotnieniu. Bo choć Stany Zjednoczone miały poparcie m.in. Wielkiej Brytanii, rządów Australii, Włoch, Hiszpanii, Danii, większości państw wschodnioeuropejskich i różnych dość egzotycznych krajów (np. Wysp Marshalla i Mikronezji), jednak nie mogły liczyć m.in. na Niemcy, Francję, Rosję, państwa arabskie i znakomitą część europejskiej oraz światowej opinii publicznej. Nie posiadały także mandatu ONZ ani nawet solidarnego wsparcia NATO. Była to zdecydowanie inna sytuacja niż w 1991 r., gdy to prezydent George Bush senior na czele wielkiej koalicji, z mandatem ONZ i poparciem NATO atakował Irak, aby wyzwolić Kuwejt. Tym razem, gdy Ameryka zdecydowała się na wojnę, była krytykowana przez część



partnerów, wywołała ogromny sprzeciw w świecie, spowodowała podziały w obozie swoich dotychczasowych sojuszników. Z czasem traciła nawet tych, którzy ją początkowo w inwazji na Irak poparli (Hiszpania). „Niegdyś byliśmy czołowymi praktykami globalnej dyplomacji, a zachowaliśmy się jak amatorzy” – stwierdziła nie bez złośliwości Madeleine Albright, sekretarz stanu w administracji Billa Clintona

Wprawdzie na początku interwencji w Iraku potęga Ameryki budziła obawy i rodziła przerażenie, ale też zmuszała do respektu, to po kilku latach dość ograniczonych sukcesów w tym regionie świata prestiż tego państwa spadł, a jego skuteczność militarna nie była już tak bezdyskusyjna. Supermocarstwo nie sprawdziło się w Iraku, gdzie doświadczyło porażek militarnych, politycznych i moralnych (afery z traktowaniem więźniów w Abu Ghraib). Realizacja misji irackiej zamiast przynieść wzrost i umocnienie rangi Ameryki w świecie, doprowadziła do jej podważenia i zakwestionowania amerykańskiego prymatu. Była to przykra weryfikacja „doktryny Busha”, która tak naprawdę w Iraku poniosła klęskę.

Zakwestionowane zostało także to, co było ważnym atutem Stanów Zjednoczonych, wpływającym na jego rangę i rolę w świecie. Chodzi o moralne atrybuty państwa modelowo rozwijającego się, jego zasady i wartości, wytyczające wysokie standardy w świecie demokratycznym. To właśnie ta *soft power* tradycyjnie decydowała o sile amerykańskich wpływów w świecie. Tymczasem przypadki takie, jak Abu Ghraib czy przetrzymywanie w nieskończoność i bez sądów więźniów w Guantanamo, stanowiło złamanie pewnych zasad, odstępianie od standardów demokratycznego państwa. Dla opinii międzynarodowej, zwłaszcza w Europie było to nie do zaakceptowania, nawet biorąc pod uwagę wyjątkowość sytuacji i szczególny charakter osadzonych więźniów (terrorystów), a także przesadzoną w ostrości krytykę walczących wybiórczo o prawa człowieka organizacji.

Czy w tej sytuacji nie mieli racji ci, którzy w kwestiach praw człowieka i rządów prawa uważać zaczęli Amerykanów za hipokrytów? W każdym razie USA straciły wiele ze swej atrakcyjności i przyzwoitości, a przynajmniej wystawiły się na strzał krytyki w sferze, która dotychczas była ich znaczącym atutem i dawała silny tytuł do artykułowania, a nawet egzekwowania właściwych norm i zasad postępowania.

Nie ma wątpliwości, że wojna iracka, a zwłaszcza jej międzynarodowy kontekst, następnie przeciągający się i wymagający ogromnych nakładów oraz obfitujący w ofiary proces budowania stabilizacji w tym kraju pociągnęły za sobą efekty przesądzające w dużej mierze o deprecjacji roli Stanów Zjednoczonych w świecie, utracie wiary w kompetencje amerykańskich strategów. Zaczęto też mówić o izolacji Ameryki. Przy czym tej niechęci nie można było tłumaczyć tylko tym, że jest ona bogata i potężna. Decyzja



administracji Busha, aby wobec zagrożenia bezpieczeństwa działać zdecydowanie, stanowczo i bezkompromisowo, nie oglądając się na ograniczenia formalne i brak szerokiego poparcia w świecie, ale przy wykorzystaniu bezprecedensowej siły militarnej – miast zdecydowanych sukcesów w walce z zagrożeniami – doprowadziła do eskalacji terroryzmu i chaosu w różnych częściach świata. Zamiast wzrostu i umocnienia rangi Ameryki w świecie – do jej podważenia i zakwestionowania amerykańskiej wiarygodności. Sprowokowała wreszcie próby izolowania Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, a nawet sprzysiężenia się przeciwko nim.

Te złe tendencje próbował odwrócić prezydent Barack Obama. Starał się odbudować nadwerżony wizerunek Stanów Zjednoczonych, przywrócić wartość *soft power*, znaczenie negocjacji i konsultacji w polityce zagranicznej. Jednak „po Iraku” faktem stało się to, że Ameryka nie jest w stanie tak sprawczo jak wcześniej oddziaływać na bieg spraw w świecie, nie jest już wszechmocna, przestała być hegemonem, zdolnym narzucić swój punkt widzenia oraz swoje rozwiązania, nawet siłą.

